



Co numer jakiś numer!

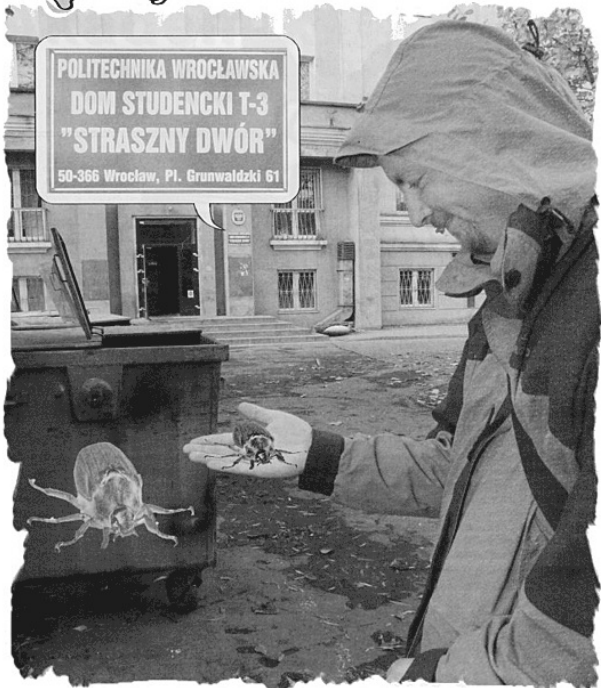
ISSN 1730-5152

# Żak

Miesięcznik studentów Politechniki Wrocławskiej

Numer 11(53)  
Listopad 2005  
Rok VII  
Nakład 4 tys. egz.

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA  
DOM STUDENCKI T-3  
"STRASZNY DWÓR"  
50-366 Wrocław, Pl. Grunwaldzki 61



# ŻAK WZYWA!



**Ż**ycie  
**a** ktywność  
**k**ultura

Termin spotkania:  
każdy czwartek godz. 19:30  
w budynku A1 pok.133

# Akademiki – jak tu mieszkać?



Niestety, może zabrzmi to niezbyt miło, ale mali przyjaciele (pluskwy domowe) zaatakowali Straszny Dwór, czyli akademik T-3. Nie byłoby to niczym na tyle poważnym, żeby absorbować opinię publiczną, a zwłaszcza studenczką – przecież jesteście przyzwyczajeni do różnego rodzaju karaluchów, mrówek, szczurów... czyżby? Takie jest właśnie stanowisko administracji akademika cyt. „jesteście przewrażliwieni” usłyszeli studenci żądający zmiany łóżka na nowe, niezainfekowane pluskwami. Zwłaszcza że można było tego uniknąć, gdyby tylko kierownictwo wykazało odrobinę wyobraźni...

**PLUSKWA DOMOWA** – *Cimex lectularius*, owad z rzędu pluskwiaków różnoskrzydłych; długości do 6 mm, ciało silnie spłaszczone, barwy czerwono-brunatnej, skrzydła zredukowane; pasożyt zewnętrzny człowieka (także innych ssaków, ptaków i gadów), żywi się jego krwią; zeruje nocą; gruczoły mieszczące się u podstawy trzeciej pary nóg wydzielają substancję o przykrym zapachu; samica składa ok. 30 jaj, z których po 21-22 dniach powstają larwy, przeobrażające się w owada dojrzałego po 5 wylinkach (ok. miesiąca w temperaturze pokojowej); bez pożywienia pluskwa domowa przeżywa ok. roku.

Te małe pasożyty są szalenie uciążliwe, ich ugryzienia strasznie swędzą (komary x3), nie mówiąc o tym, że żywią się naszą krwią. Niektórzy studenci są na nie uczuleni, więc przy większej liczbie ukąszeń pojawiają się wielkie, czerwone, spuchnięte, swędzące plamy, a w skrajnych przypadkach może dojść do zapasicy toksycznej. Plamy wyglądają okropnie, swędzą niemiłosiernie i bardzo trudno się ich pozbyć, pozostają strupki po ukłuciu, a gdy jest zimno, w miejscach po obrządkach pojawiają się fioletowo-siwe ślady. Plagi tych pasożytów ostatnio miały miejsce w czasach okupacji, kiedy to ludzie kryli się w zniszczonych domach lub piwnicach, brakowało wody, a co dopiero mówić o środkach do dezynsekcji. W każdym razie wszyscy wspominają te stworzenia jako niesamowicie uciążliwe i trudne do wytopienia; łóżka, gdzie pojawiły się pluskwy, palono. Na szczęście mamy XXI wiek...

i takie zdarzenia nie powinny mieć miejsca, a jednak. O ile dawniej panowały warunki korzystne dla rozprzestrzeniania się różnych plag, tak teraz powinno być nie do pomyślenia, by w akademikach, gdzie mieszkają studenci, a często studenci z zagranicy, panowały takie warunki. Gdzie leży więc szkopuł? Ano niestety w opieszałości administracji akademika. Już w wakacje ekipa remontowa, która mieszkała w T-3 i odwiała akademik, skarżyła się, że coś jest nie tak. Najpierw myśleli, że to uczulenie, ale na pogotowiu powiedziano im, że coś ich gryzie, bo mają ślady ukąszeń. Pracowali dalej, a dezynsekcji poddano tylko ich pokój. Tak więc fakty mówią same za siebie: administracja wiedziała, że jest jakieś robactwo i to groźne dla ludzi, dlaczego więc nie zrobiono dezynsekcji całego akademika zanim wprowadzili się studenci? Nie wiadomo. Żadną obroną nie jest zastąpienie się, że nie wiedzieli, co to jest – nastąpiło wyraźne zaniedbanie obowiązków. Studenci nie przyjeżdżają do akademików na 1 lub 2 noce, to jest nasz tymczasowy dom na co najmniej rok i to administracja ma odpowiadać za bezpieczeństwo i dobre warunki mieszkaniowe. Być może liczone na to, że jak pluskwy zobaczą pięknie odnowione pokoje, wyeklinowane podłogi i nowe drzwi, to ze spuszczonej głowkami same odejdą w siną dal, niepokoić śmietniki czy kanaly. Niestety nie jest to takie proste. Na szczęście przeprowadzono gruntowną dezynsekcję 1. piętra, tylko 1., bo administracja nie chce dać pieniędzy na dezynsekcję całego akademika; drugie zaniedbanie, bo te pasożyty bardzo łatwo mogą się roznieść choćby przyczepione do ubrań. Mam wrażenie, że studenci są traktowani jak ludzie, którzy mogą mieszkać w każdych warunkach i nie nie powinno im przeszkadzać; zdrowie, nauka schodzą na dalszy plan, byleby płacili na czas (zwłaszcza że podniesiono ceny o 20 zł). Solidaryzujemy się oczywiście ze studentami z Wittigowa, gdzie też przeprowadzono generalny remont i np. fugi między płytkami mają gdzieś niedziegie po 1 cm (nie ma jeszcze odbioru remontu, więc muszą poprawić), ale o tym w następnym numerze. Nic tylko powiedzieć, że tak mieszka przyszła inteligencja IV RP. ■

JS

**Redaktor Naczelny:**

Paweł Prociów -  
pawel.prociow@zak.pwr.wroc.pl

**Zastępca redaktora naczelnego:**

Tomasz Stec -  
tomasz.stec@zak.pwr.wroc.pl

**Redaktor Wydania:**

Paweł Guchoński -  
pawel.guchoński@zak.pwr.wroc.pl

**Kontakt z czytelnikami:**

Tomasz Stec -  
tomasz.stec@zak.pwr.wroc.pl

**Fotografia:**

Marcin Dudek  
Jacek Orasiński  
Maciej Zacharski

**Grafika:**

Joanna Śum

**Korekta:**

Grzegorz Wielgoszewski

**Skład i tamanie:**

Koło Naukowe Bibliotekoznawców  
Uniwersytetu Wrocławskiego

**Pozostali Redaktorzy:**

Ewa Chudyk  
Mirosław Marcol  
Karolina Mysiak  
Lukasz Pierzchała  
Krzysztof Redkiewicz  
Marta Rudy  
Monika Stawczyk  
Paulina Stawowa  
Beata Skut

**Współpraca:**

Paweł Hudziak  
Marcin Kisielewicz  
Lukasz Kozubek  
Krzysztof Marszałski  
Marcin Rak  
Magda Szurmińska

**Adres redakcji:**

Miesięcznik Studentów  
Politechniki Wrocławskiej „Żak”  
50-370 Wrocław  
Wybrzeże Wyspiańskiego 27  
budynke C8 pok. 22  
tel. 320 40 89  
e-mail: zak\_pwr@pwr.wroc.pl  
www.zak.pwr.wroc.pl  
Redakcja czynna w dni powszednie.  
Ogłoszenia:  
siedziba redakcji, w dni robocze.  
Drukarnia:  
Drukarnia Oficyny Wydawniczej PWR

## Wracamy na właściwy kurs

Powoli nadganiamy utracony czas i może już niedługo „Żaczek” będzie wychodził na początku miesiąca. Tymczasem oddajemy w wasze ręce kolejny numer pełen ciekawych tematów i pomysłów. W środku znajdziecie parę interesujących ofert na spędzenie długich jesiennych wieczorów, gdy aura nie będzie już tak dopisywała jak we wrześniu. Tematem z okładki jest tekst dotyczący dość nieprzyjemnej sprawy dotyczącej mieszkańców jednego z naszych akademików. Jaka to sprawa i kto za tym stoi przekonacie się gdy zajrzyście do środka. Poza nowymi tematami znajdziecie w numerze kontynuację cykłów rozpoczętych w poprzednim numerze. Wraz z Żakiem odwiedźcie kolejną stolicę, otrzymacie e-mail z Indii i nauczycie się mówić „Ścisłe po polsku”. Zapraszamy do lektury!

**Paweł Prociów**

## W numerze:

**Temat numeru:**

Akademiki, jaktumieszkać? ..... 3

**Felietony:**

Promocja, czyli nabyw w butelkę! ..... 6

Zle to czy nie? ..... 6

Pułapka relatywizmu - Tańsza opcja ..... 14

**Wydarzenia:**

Planujesz karierę? Szukasz pracy? ..... 12

Szykuje się tramwajada ..... 12

Co? - Kabaretowy Festiwal WROCEK 2005 ..... 13

Studenci Politechniki potrafią pokazać ..... 13

**Za granicą:**

Pozdraz w Lublany ..... 7

Wyprawa Orvaldi Antarctica 2004-2005 ..... 8

Emailom z Indii ..... 10

**Organizacje:**

RadioLUZ ..... 14

Ambitny, kreatywny, przedsiębiorczy... wykorzystaj to! ..... 15

**Recenzje:**

Dogma - Genialne błuznierstwo ..... 16

Anzjowe rewolucje ..... 18

Anita Lipnicka & John Porter – „Inside Story” ..... 19

Pati Yang – „Silent Treatment!” ..... 19

Franz Ferdinand – „You could have it so much better” ..... 19

Skalpel – „Konfuzjon” ..... 19

Rozdroże Cafe ..... 19

Nieustraszeni Bracia Grimm ..... 19

In Emo we trust ..... 20

Junichi Saga ..... 20

Frank Miller - Do piekła i z powrotem ..... 21

**Różności:**

Szortpress ..... 5

Student Spaghetti ..... 11

Kredka i Oliwka ..... 17

Ścisłe po polsku - A.Ampère'em o apostrofie ..... 22

## Wspólne sesje naukowe Wydziału VI (Nauk Technicznych) Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego i Stowarzyszenia Polskich Entuzjastów Nanotechnologii (SPENT)

Studenckie Koło Naukowe SPENT, działające przy Wydziale Elektroniki Mikrosystemów i Fotoniki, zaprasza wszystkich na cykl wykładów poświęconych różnym aspektom wciąż zyskującej na znaczeniu dziedzinie nauki nanotechnologii. Specjaliści mówić będą o tym, z jak różnych stron można oglądać świat w skali nano i w jak różny sposób wykorzystywać jego możliwości. Spotykamy się we wtorek o godz. 17-15. Najbliższe wykłady: 29 XI 2005 - prof. Lucjan Jacak, „Nano-technologiczne perspektywy zastosowań mechaniki kwantowej” (A-1, s. 320A); 13 XII 2005 - dr hab. inż. Marek Tłaczala, „Niebieska elektronika - i co dalej?” (C2, s. 212). Więcej informacji: <http://www.wemif.pwr.wroc.pl/spent/dzialalnosc>.

GJW

## Radio Żak

Począwszy od drugiej połowy listopada co tydzień we wtorek o godzinie 17:30 na antenie Akademickiego Radia LUZ będzie można posłuchać audycji prowadzonej przez dziennikarzy „Zaka”. Będą to audycje o tak rozmaitej tematyce jak artykuły w naszej gazecie. Mamy nadzieję, że ten eksperyment się nam uda i radio „Zaka” stanie się lubianą audycją.

Pamiętajcie - wtorek, godz. 17:30.

PG

# SZORT

## Kariera z pracodawcą

Grupa MODUS ogłosiła w Informatorze KARIERA najnowszy ranking „KARIERA z Pracodawcą 2005”. Jego celem jest wyłonienie najlepszego, zdaniem studentów i absolwentów, pracodawcy oferującego praktyki i staże. Termin nadsyłania zgłoszeń upływa 31 stycznia 2006 r. Wyniki zostaną ogłoszone na uroczystej gali.

Dla czytelników Informatora oraz użytkowników serwisu [www.kariera.com.pl](http://www.kariera.com.pl) została przygotowana specjalna ankieta, w której mogą oni uzasadnić wybór i ocenić pracodawcę na podstawie różnych czynników. Każdy student i absolwent biorący udział ma szansę wygrać odtwarzacz mp3.

Joanna Pepas

## RINF

### Rozwiązania Informatyczne

#### Jeżeli:

- programujesz obiektowo

- komunikujesz się w języku angielskim lub niemieckim

- chcesz ułatwić sobie znalezienie dobrej pracy

- chcesz podnieść swoje kwalifikacje

zapraszamy do wzięcia udziału w bezpłatnym kursie

## AKADEMIA JAVY

Wszystkich chętnych prosimy o składanie CV w języku angielskim lub niemieckim do końca listopada na adres:

[akademia@rinf.pl](mailto:akademia@rinf.pl)

W temacie prosimy wpisać:

kurs/Java1/2005

Najlepszym absolwentom gwarantujemy pracę!

[www.rinf.pl](http://www.rinf.pl)

Laureat IV edycji Programu



# PRESS

Stypendium premie aktywność naukową: pracę w kole naukowym, uczestnictwo w projektach naukowo-badawczych, publikacje, referaty, udział w konferencjach, ale także studia na drugim kierunku czy według indywidualnego programu. Niestety, ważna jest również średnia: 4,7 (dla studentów PWR, gdyż najwyższą u nas oceną jest 5,5). Było o co się starać: nagrodzeni będą otrzymywać przez 10 miesięcy 1300 zł. Gratulujemy, a także życzymy dalszej owocnej pracy i kolejnych sukcesów!

GJW



*„peugeot to pełnia życia,  
tym czasem renault  
to czysta przyjemność,  
i co wybrać?”  
(z wiersza Marty Podgórnik  
„Jakocie i witaminy”)*

## CZYLI NABITY W BUTELKĘ!

Bombardowanie rozpoczęło się mniej więcej po upadku żelaznej kurtyny. Bombardowanie reklamami, neonami, billboardami, bannerami, bo sprze-

dać można wszystko, byle fajnie opakowane, byle dobrze za-reklamowane.

Raty 0%! Ale przecież Polacy to nie idioci! 30% zniżki, a ceny już od 999,99 złotych, więc tylko kupować. Ale przecież kto by kupił kota w worku, chociaż worek ładny? Promocja nieważna na co – ważne, że promocja! Szczęśliwe godziny czekania w kolejkach pod nowym supermarktem, ale za czym? Co dają to weźmę – odpowiada tłum czekających.

Czyżby ludziom brakowało dawnych czasów, kiedy stało się dwa dni pod sklepem, bo mieli „coś rzucić” – jeszcze nie wiadomo co, ale zawsze to coś. Hiper-super-mega-hektko, co jeszcze? Co jeszcze wymyślił spece od reklamy, żeby zabić naszą oczy, uszy, a przede wszystkim nasz portfel.

Właściwie nic by mnie to nie obchodziło, bo zawsze do reklamy podchodziłem z dystansem. Właściwie nie tym sobie nie robił z natłoku informacji, co i gdzie mogę kupić taniej – swoje przecież wiem i dobrze wiem, co mi smakuje, w co lubię się ubierać. Nic bym sobie z tego całego rozgardaśzu nie robił, bo takie są prawa rynku – na tym ma polegać wolny wybór klienta, ale ostatnio najwzyczajniej się nadziałem i to tak, że głowa boli, a portfel jeszcze bardziej. Nie wiem, czy była to

chwila słabości, czy po prostu zwątpiłem w siebie? Może potrzebowałem przygody, jakiegoś pocieszenia? Nie wiem, ciężko mi się wylumaczyć.

Po prostu nadszedł sadny dzień i zatopiłem się w promocji, rozkoszowałem się wolnością, rozsmakowałem się w nowej jakości mojego piękniejszego życia, dryfowałem po wielkich wodach darmowych minut, które zaproponował mi jeden z operatorów sieci komórkowych (oczywiście nazwy nie wymienię, bo naszej skromnej gazety na proces nie stać – nawet w zestawie promocyjnym). Z radością, której wcześniej przez swój niemiary rozśadek nie poznałem, z uśmiechem na twarzy narawiałem sobie piwa. Nie doczytałem sobie małego punktu, nie dopatrzyłem jednej małej gwiazdeczki. Jakaś zaćma, jakiś chochlik czy inny czort podpowiedział mi – płyn, płyn i dźwón ile wlezie – przecie promocja. I popłynąłem po falach elektromagnetycznych w nieznanym dółku mi kierunku, ale jak się później okazało, wyładowałem na bezudłnej wyspie.

Chciałbym, żeby następny kłopot był podobny do tego małego lenkiego molca przyświecającego mi mojemu żalowi, mojej skrzesie i pokucie – czego sobie i tobie drogi czytelniku życzę.

Miroslaw Marcol

# ZŁE TO JEST CZY NIE?

– Witaj mój drogi. Problem mam. Powiedz, czy jest kopię na własny użytek coś, to złe czy nie?

– Tak mówi prawy. Poza tym sam uważam, że to złe. To przecież kradzież!

– Nie sądzę. Spójrz bowiem na istotę kradzieży. Ukradło to zabrać coś komuś wbrew jego woli. Czy jednak gdy wykonuję kopię, to zabieram komu to, co kopuję?

– Skąd. On przecież nadal to ma.

– Więc skoro nie nie zabieram, to i nie kradnę?

– No, właściwie raczej masz. Zaskakujące lecz logiczne jest two rozumowanie.

– Cieszy mnie, że tu się zgadzamy. Ty jednak dalej uważasz, że nielegalne kopiowanie jest złe?

– Zdania nie zmieniłem. Nie całe bowiem zło pochodzi z kradzieży. Zło miewa wiele źródeł.

– Prawda. Powiedz mi więc, co jest złe. Jak ty pojmujesz to słowo?

– To proste i pewnie ty mnie tak specjalnie o to pytasz, a sam dobrze wiesz. Złe jest to co wyrządza komuś krzywdę.

– I ja taką definicję uznaję. Lecz popatrz oto, do czego nas ona prowadzi. Aby powiedzieć, że

nielegalne kopiowanie jest złe, musimy wykażać, że przynosi krzywdę. Jakaż więc to jest krzywda?

– Zabierasz komuś pieniądze, gdy zamiast kupić oryginal, robisz kopię. Oto krzywda.

– Zabieram? Przecież ja żadnych pieniędzy nikomu nie biorę.

– Nie o to chodzi. Przez ciebie ktoś nie może zarobić tego, co mogłby. Moim błędem jest tu, przyznając, mówienie o zabieraniu czegoś, skoro kradzież już wykluzyliśmy.

– A jeśli ja w ogóle nie zamierzam kupować niczego, bo na przykład nigdy nie stać? Wtedy właściciel praw autorskich i tak nie na mnie by nie zarobił.

– Przyznaję, że znów masz rację. No ale czy godzi się mimo to nieuczciwie postępować i kopiować coś, czego sobie autor nie zyczy? Nawet jeśli to nikomu szkody nie przynosi? Gdzie tu moralność??

– Ależ to właściciel praw autorskich nie ma jej za grosz.

– Jakże to? Oceniasz kogoś, kogo na oczy nie widziałeś? Czemuż to brak mu moralności?

– Bo niemoralnym jest brać w nieskończoność wypłatę za skończoną pracę.

– Zgadzasz się, że to niemoralne, lecz czy tak czynią ci ludzie, których oskarżasz?

– Tak właśnie. Po sprzedaniu pewnej liczby kopii swego dzieła zwracają im się koszty jego wykonania a nawet dostają zysk...

– Tak przecież jest w każdym zawodzie. To źle według ciebie, że ktoś zarabia na swej pracy?

– Nie, ale chodzi mi o to, że oni dalej sprzedają kopie i po raz kolejny dostają swą zapłatę, gdy znów te same ich liczby sprzedają. I tak w nieskończoność.

– Ach. Teraz ci się rozumie. Jednak masz rację. Niemoralnie czynią. Cóż nam jednak poczają, gdy prawo jest po ich a nie po naszej stronie?

– Zmieniasz prawo, rzekłbyś, ale nie wiem jak. Wróć lepiej do siebie, by ten problem przemyleć.

– Z nim nie pójdzie ci już tak łatwo.

Pawel Gluchowski

# Pozdrav iz Ljubljane

Kolejnia stolica, o której będzie mowa, jest o tyle ciekawym miejscem, że – jak podziwiewam – niewiele Polaków cokolwiek o nim wie. Podobnie zresztą jak o całym tym kraju. Bo kto z nas, zaprzątnięty o to na ulicy, potrącony powiadzi coś więcej o Słowenii (może oprócz informacji, że wraz z Polską i ośmioma innymi krajami wstępowała do UE)? My, będąc na chorwackim wybrzeżu, postanowiliśmy zrobić sobie wycieczkę do oddległego o nieco ponad 100 km Ljubljany (czy też, według polskiej pisowni, Lublany), aby dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Poblądźszy trochę przy zjeździe z autostrady, dotarliśmy w końcu do okolic centrum i stamtąd na pobliską starówkę. Lublana nie jest rozległa, jest jedną z najmniejszych stolic Europy (ma ok. 250 tys. mieszkańców), ale za to jest miastem bardzo starym. Jej pozostałości sięgają pojawienia się na tym terenie Rzymian i Słowian przez nich osady już w I wieku naszej ery. Słowiańskie osadnictwo zaczęło się na tamtych terenach w VII wieku, a prawo **nijskie** Lublana otrzymała w wieku XIII. Stolicą **niepodległej** Republiki Słowenii jest od 1991 roku.

Stolica Słowenii usiłowała zrobić na nas najgorsze wrażenie: w ciągu kilku godzin **naszego** zwiedzania deszcz wzmożył się od niewielkiej mżawki aż do prawdziwej ulewy. Ale nie **udflo** mu się **nas** zniechęcić, toteż wkrótce dał za wygraną. Spacer rozpoczęliśmy od jednego z najbardziej charakterystycznych punktów – placu Prešerna. **France Prešern** – polonizację Mickiewicza z Wybickim – **szfandrowo** słoweński poeta romantyczny, autor sonetów, a także słow do „Zdravljica”, czyli słowarskiego hy mu Jest narodowym symbolem i wyraz tego mowa znalazł na każdym kroku. Na placu swego imienia **a** **ca** **ozdy** **uśd** e



pomnik, widnieje na banknocie tysiąciolatorowym, a dzień jego smierci – 8 lutego – jest w Słowenii narodowym świętem. My, minąwszy ceglany kościół franciszkański, udaliśmy się dalej, na *Trgostovje*, czyli potrojny most. Byliśmy w przepięknym wnętrzu katedry Cyryla i Metodego. *Szifisny*, *wzdłuż rzeki* Ljublancy, ale wkrótce skręciłszy w jakąś ładnie wyglądającą boczną uliczkę. Tam jęszcza uważę przyciągnęło ciekawe, mieniące się kolumnami wnętrze: galeria grafiki i komputerowej, w której każdy z odwiedzających mógł zaprojektować swój własny „land of dreaming”, czyli wyżsiny świata. Ku naszej radości okazało się, że w głębi budyńku znajduje się kafejka, o orientalnym wystroju, nieco podobna do naszej „Drogi do Mekki”, ale mniejsza, spokojniejsza. Skusiliśmy się na pyszną kawę, do której podano nam także po szklance wody. I tu ciekawostka: w Lublani woda jest uzdatniana tak, że nadaje się do picia prosto z kranu (Wrocławowi daleko jeszcze do takiego stanu). Po krótkiej i przyjemnej przerwie kontynuowaliśmy spacer, licząc na to, że deszcz przestanie padać.

Alę apogeum nastąpiło na zanku lublańskim, górującym nad resztą miasta. Wspięliśmy się na wzgórze zamkowe, miniliśmy bramę ze strzegącym jej małym smokiem i naszym oczom okazał się rozległy dziedzińce zamkowy, na którym znajduje się popularna kafejka, wejście do galerii sztuki nowoczesnej, wizer, kapliczki i konmat zamkowych. My podzawaliśmy panowanie miasta w strugach deszczu.

Resztę starówki oglądaliśmy już na szczyście w słońcu: klasztor i kościół urszulańek, ładne i zadbane budynki uniwersyteckie oraz – chyba dla kontrastu – wyjątkowo brzydka, przypominająca polskie budownictwo socjalistyczne bibliotekę uniwersytecką. Dalej galerię narodową, muzeum i filharmonię. Ale ukoronowaniem wyprawy było udanie się z powrotem w okolice katedry, na najbardziej znany targ. Słowenia słynie ze świetnej i zdrowej żywności, a więc nie odmówiliśmy sobie zweryfikowania tej opinii! Mnóstwo małych sklepików oferuje przeróżne wiejskie wyroby: my kupiliśmy kozi ser, ogromny bochen chleba, miód kasztanowy i oczywiście wino. Okazały się świetne. Zwłaszcza pite wieczorem, już po powrocie, wino pozostawiło nam miłe wspomnienie tej krótkiej, deszczowej wyprawy...

*Małgorzata Szarmilińska*

# Wyprawa Orvaldi Antartycy

2004-2005 czyli Panoramy dookoła Ameryki Południowej



Dr Andrzej Pochodaj

Andrzej Pochodaj z załogą – Lodowce Patagonii

## część II

3 stycznia przekazali Panoramy załozce antarktycznej pod dowództwem kapitana Piotra Kuźniara. Po drobnych remontach i zaprowiantowaniu jachtu 6 stycznia odpłynęliśmy z Ushuaia w kierunku Antarktydy. 13 stycznia przekroczyliśmy południowe koło pobiegunowe, 14 stycznia osiągnęliśmy pozycję najdalej wysuniętą na południe. Niekorzystna sytuacja lodowa nie pozwalała popłynąć dalej do Zatoki Malgorty. Na dalekim południu panowały w tym roku wyjątkowo niekorzystne warunki lodowe. Takiego zlodzenia nie było podobno przez ostatnie 15-20 lat. Odwrót odbywał się wzdłuż Półwyspu Antarktycznego. Wylądowaliśmy na wyspie Hugo, wyspie Anvers, na stałym lądzie na Ziemi Grahama oraz na wyspie Enterprise. Odwiedziliśmy również Stację Antarktyczną PAN im. Henryka Arctowskiego gdzie ponownie ciepło i serdecznie nas goszczono. Na dalekim południu oderwaliśmy od świata, mimo zimna, śniegu i silnych wiatrów, byliśmy urzeczni Antarktydą, jej pięknem, kolorami oraz bogactwem zwierząt. Przechadzaliśmy się wśród pingwinów, fok Weddella, uchatek, słoni morskich; zwierzęta te nie czuły z naszej strony żadnego zagrożenia. Przeplamyliśmy obok niezwykle fantastycznie ukształtowanych gór lodowych. Były ogromne, każda z nich

miała niepowtarzalne fantastyczne ukształtowanie, czasami wyglądały jak pałace lodowe. Fascynowały swym pięknem, grozą i potęgą. Niektórzy spełnili swoje marzenia: zjechali na nartach z lodowca, a także nurkowali w zimnych wodach antarktycznych. Cisza i potęga Antarktydy, jej dostojność,

pełnia życia pozwalały nam zasłuchiwać się w jej mrużące lodowce spływające do oceanu. Biały Kontynent zadziałał na nas jak narkotyk, do którego się powraca, co znajduje się w naszych najbliższych planach. Odkryliśmy niewiarygodnie piękno tego miejsca i zafascynowaliśmy się zeglowaniem w lodach.

3 lutego przekazaliśmy jacht załozce kapitana Andrzeja Pochodaja. Celem tego krótkiego dwutygodniowego etapu było zobaczenie, dostępnych tyko z wody, niezwykle urokliwych lodowców w Kanale Beagle oraz opłynięcie Przylądka Horn. Plan zrealizowali w niezwykle sprzyjających warunkach pogodowych.

17 lutego załoga kapitana Jerzego

Kosza po opłynięciu Hornu popłynęła na północ, wzdłuż zachodnich brzegów Ameryki Południowej. Płynąc wśród kanałów Patagonii, stawali na kotwicy w zatoczkach, cumowali do drzew podziwiających fiordy, góry Patagonii z ich spływającymi do morza lodowcami. Niestety mieli pogodę z silnymi, przeciwnymi, północnymi wiatrami, od gradu przez śnieg i deszcz po słońce. Stwierdzono zgodnie, że limit

dobrej pogody w tym rejonie świata wykorzystali poprzednie załogi. W tej części Stali nie było portów, mieli więc problemy z uzupełnianiem prowiantu, wody i paliwa, które – zanieczyszczone – spowodowało zapchanie instalacji paliwowej. Po wyjściu na Pacyfik, dotarli do portu Concepción w Chile, gdzie przekazali jacht.

14 marca załoga kapitana Wojciecha Radziuna wypłynęła w kierunku wyspy Robinsona Crusoe w archipelagu Juan Fernández, stamtąd 26 marca zainewioli do portu Antofagasta w Chile, a 5 kwietnia – do Limy. Dwa dni zalałowiali formalności związane z wejściem do portu i przekroczeniem granicy Peru. Tu nastąpiła częściowa wymiana załogi. Nowa załoga pod dowództwem tego samego kapitana wyruszyła 13 kwietnia w dalszą podróż na północ. Łagodny pasat wioził ich spokojnym i monotonnym rytmem w stronę Galapagos. Chłodny prąd peruwiański powodował, że mimo bliskości równika nie odczuwali zbytnej spiekoty, słoneca jednak im nie brakowało i z lubością wygrzewali się w nim. Nocami zbierali garściami gwiazdy, w dzień oglądali promienie słońca tańczące na falach. Wesole stada delfinów tańczyły dookoła jachtu, czasem odwiedzały ich ptaki. 20 kwietnia dotarli na Galapagos, gdzie spędzili 3 dni. Wokół Panorammy pływały żółwie, a foki wręcz nie dawały im spokoju. Odwiedzili rezerwat ogromnych żółwi; ogromnych i nieruchawych. Weszli na koronę krateru, która prawie ciągle jest we



Panorama na kotwicy w Baquerizo Moreno - Galapagos





fot. Joanna Włodarczyk

Karaby - Kąpiel w oceanie - Darek Kluczkia z załogą

mgłę i gdzie jest chłodno w przeciwieństwie do upalnego wybrzeża. Zajrzeli również do książki pamiątkowej w małej knajpce, gdzie znaleźli wpis załogi Panoramy z czasu, gdy płynęła do Australii. Nurkowali w wodach Galapagos, podziwiając podwodne życie: rekiny, płaszczki, niezliczone ilości ryb oraz fok, które zapraszały ich do zabawy. Byli zachwyceni Wyspami Galapagos. Z takich miejsc nie chce się wypływać, jednak czas ich gonil. Po zaprowiantowaniu i dokonaniu bieżących napraw 23 kwietnia wypłynęli z Galapagos w kierunku Panamy. 24 kwietnia przekroczyli równik. Pacyfik, tak jak na poprzednim odcinku rejsu, był pusty. Byli tylko oni i beznier oceanu. 1 maja zacumowali w porcie jachtowym w Balboa w Zatoce Panamskiej. Tam spędzili 4 dni na zalatwianiu formalności związanych z przejściem kanału. Poznali tutejszy tryb życia, gdzie pośpiech poniaż zarówno urzędnika jak i peneta. Było bardzo gorąco i wilgotno. W oczekiwaniu na termin przejścia kanału popłynęli na archipelag Wysp Perłowych, gdzie były: bezludne wyspy, piaszczyste plaże, langusty prosto z morza, kokosy prosto z palmy, perły i korale prosto z plaży. Powrócili do Panamy, gdzie 12 maja wplynęli do śluzu Miraflores. Z wieloma przygodami przepłynęli Kanał Panamski do Colón.

13 maja zaokrętowała się nowa załoga pod dowództwem kapitana Dariusza Kluczkia. Colón jest jednym z najbardziej niebezpiecznych miejsc na świecie, więc zakupy robili z miejscowym agentem. Z portu wypłynęli jak najszybciej w kierunku Karaibów. Zamiast przewidywanej trójceki z NW mieli zero w porwach do... zera. Upał i brak wiatru towarzyszył im przez cały rejs.

zwyczaj: brak pośpiechu, reggae, rum. Świętowali szczęśliwe ocalenie przed cyklonem Adrian, zwiedzali wyspę. Pogryzły ich moskity. Każdy miał kilkaset ukąszeń. Moskit nadlatuje bezszelestnie, a ukąszenie czuć dopiero jak odleci. Biurokrację zastali typową dla tego obszaru. Wydatki administracyjne i zakup ropy w ilościach jak dla krążownika (słabe wiatry) poważnie nadszarpnęły ich budżet. Opuścili wyspę kierując się na Kubę. Prognozy pogody były podobne: wiatry zmienne, czyli dalej żegluga na silniku. Z Jamajki zabrali ze sobą moskity, z którymi walczyli tak jak z upałem, który był gorszy niż na równiku. Przepłynęli między Jamajką a Haiti na Kubę i 30 maja wplynęli do Mariny Hemingwaya w Hawanie. 3 czerwca zakończyli rejs. Na pożegnanie odwiedził ich ambasador i konsul RP. Żegnali Kubę i wszechobecne moskity. Wracali do kraju obladowanymi rumem i cygarami.

4 czerwca załoga z kapitanem Andrzejem Pochodajem wypłynęła z Hawany w kierunku Bermudów. Na trasie tej załoga walczyła z brakiem wiatru, jazdą na silniku, z codziennymi ulewami tropikalnymi oraz zagrożeniami z powodu pojawiających się pierwszych cyklonów tropikalnych. Będąc na obrzeżach cyklonu Amelie dostali trochę wiatru, później wszystko wróciło do normy: brak wiatru. Gnali na silniku wspomagając się żaglami. Po trudach i udrękach żeglugi oceanicznej 15 czerwca zawinęli

na Bermudy. Zatakowali paliwo, uzupełnili wodę i następnego dnia wypłynęli na ocean. Uruchomili pokładową radiostację. Zorganizowane zostało spotkanie w eterze z udziałem 4 stacji: Radio Panorama, nasz zaprzyjaźniony krótkofalowiec z Karoliny Północnej Robert (KB2PNM) oraz stacje z Wrocławia: Zygmunt (SQ6FZ) i Grzegorz (SQ6JNE). Naszemu zespołowi radiowców rozstawionych w różnych miejscach kuli ziemskiej udało się nagrać audycję z pokładu Panoramy. Była to pierwsza audycja po długiej przerwie, trwającej już ponad 8 miesięcy. Cieszyliśmy się, że radiostacja wreszcie działa na naszej flagowej jednostce. Od tej pory można było usłyszeć ich codzienne relacje z Atlantyku (do tej pory załogi wykorzystywały telefon satelitarny). Wciąż zmagał się ze słabymi, zmiennymi wiatrami (w większości od rufy), co nie pozwalało im rozwinąć skrzydeł i pognać do przodu. Ocean w 40% przepłynęli na silniku. 3 lipca dotarli na resztkach paliwa do archipelagu Azorów. Postój trwał zaledwie kilka godzin na uzupełnienie zapasów. 16 lipca około godziny 5 nad ranem w okolicach pozycji 043°07'N, 009°22'W wrzcieli kuzy Panoramy z dnia 22.09.2004. Tym samym zamknęli pętlę zatoczoną dookoła Ameryki Południowej. Tego samego dnia, z dwudniowym opóźnieniem wplynęli do La Corunya.

17 lipca załoga Jurka Kosza ponownie rozpoczęła wyścig z czasem. Miała 1600 Mm i 12 dni do planowanego terminu powrotu do Gdańska.

Ewa Skut

Ciąg dalszy w następnym numerze Zaka



fot. Andrzej Pochodaj

Panorama w paku lodowym na Antarktydzie

## em@ilem.z.Indii

From: Krzysiek Marszalski marszalski@gmail.com  
 To: Wroclaw@polska <Wroclaw@polska>  
 Date: Sun, 18 Sep 2005 17:55:54 +0530  
 Subject: Nepal

## Namaste!

(to po nepalsku)

Właśnie dojechalismy do Pokhary – miasta, z którego wyrusza większość wypraw na Annapurnę 8037 m o ile pamiętam, ale to mało ważne, bo i tak wchodzimy „jedyne” na jakieś 4 tys. maksymalnie. Ale to później.

Ostatniego maila udało nam się wysłać z Delhi, gdyż później ani pośpiech, ani ceny nie umożliwiły dojścia do komputera. Z Delhi pociągiem 7 rano wyjechalismy do Agry, miasta Tadz Mahalu i – smutne, ale prawdziwe – niczego więcej. O samym grobowcu nie ma co pisać, jest tak biały jak widać na wszystkich zdjęciach dostępnych w każdym przewodniku albo zbiorze cudów świata. Oprócz niego parę świątyń, trochę ładnych zabytków oddalonych od miasta o 5-10 km, oraz fort w centrum miasta z największym w Indiach perłowym meczetem, który jest chyba dla zartu zamknięty dla turystów, z niewiadomych powodów dla przewodników wzglę-

dów. Piękna Tadz Mahalu dopelniają ceny wstępów dochodzące nawet do 20\$ dla turystów, a 0,5\$ dla miejscowych. Jako ciekawostka: parę lat temu podtruwano turystów w hotelach, żeby później móc ich w Agrze leczyć po cenach podobnych jak Tadz Mahal (ukróćmy to ogólnie towarzystwa ubezpieczeniowe). Tak czy siak, zachwyceni zabytkami i równie niezadowoleni cenami, wyjechalismy tego samego dnia do Varanasi, świętego miasta hindusów. Miejsce do Varanasi pociągiem z Agry nie było już na tydzień przed wyjazdem, musieliśmy kupować ostatnie bilety na linie biegnącą przez Tundla (1h drogi z Agry autobusem). Przejazdka autobusem nie była tak przerażająca jak opisywana w Pascalu. Ludzi owszem sporo, ściśniętych na siedzeniach po 5 miejsc w rzędzie. Najlepsze miejsce przy oknie, chociaż różnica w temperaturze jest słabo zauważalna. Kierowca wcale nie pędził, moze czasem wyprzedzał na piętogo po poboczu swoim albo przeciwnym, czasem trzeba było wprowadzić ruch europej-

ski, bo zagapiony autobusiarz został na prawym pasie mimo nadjeżdżającego z naprzeciwka motoru, ale to sporadyczne przypadki; ogólnie droga minęła spo-

podczas wschodu słońca. Widok niesamowity, dziesiątki ludzi przychodzących na święte schody do świętej rzeki, dokonając porannej ablucji połączonej



kojnie i mimo nowej asfaltowej drogi nadzwyczaj wyboisze. Podróż pociągiem już zupełnie bez kłopotów, w 6 osób robiliśmy warty przez całą noc, reszta spała spokojnie na swoich kuszetkach.

Varanasi, miasto małe, mieszkańców ok. 1 mln, przyjezdnych ok. 500 000 dziennie, denatów ok. 300 dziennie, w tym 299 przyjezdnych i to wcale nie jest śmieszne. Na peron wjechalismy 5:15 rano, tłumy niesamowite, w poczekalni dworca dość niecodzienny widok, ludzie śpią na podłodze, razem z zawiniętymi w płótno nieboszczkami. Wyszliśmy szybko. Hotel, śniadanie, trochę zwiedzania (niedużo tego jest w Varanasi, oprócz oglądania ghatów nad Gangesem; Ghaty, czyli schody prowadzące wzdłuż całego miasta do rzeki), spanie. Rano 4:00 pobudka, by o 5:30 ruszyć łodzią po Gangesie wzdłuż wszystkich 160 ghatów

z modłami; zastanawiające było dla nas tylko to, że mogą w tej wodzie pływać, chociaż normy higieniczne czystości wody są przekroczone o ok. 3000% jeśli chodzi o zawartość bakterii. Popłyneliśmy więc dalej, nie przejmując się tym znanad, do czasu... dotarliśmy do ghatu, gdzie wykonywane są zawsze rytualne spalania ciał zmarłych, to dlatego tyle było ciał na dworcu, każdy hindus chce być spalony w Varanasi nad Gangesem, daje to pewność osiągnięcia nirwany. Prochy wysypywane są do rzeki, a tuż obok kąpią się ludzie. Jednak nie to było najbardziej obrzydliwe. Istotniejszą sytuację, kiedy nie wolno palić ciała, a jedynie wrzuca się je całe do rzeki z przywiązanym kamieniem u rąk, robi się to zawsze na środku rzeki, jednak czasem ciała wypływają na powierzchnię mimo wszystko. Tak było i u nas, zwłoki dorosłych a nawet parumiesięcznych



dzieci pływały przy samym brzegu schodów... pięć metrów obok ktoś inny mył zęby. 10h drogi autobusem w stronę granicy nepalskiej, o 22:00 wyrobiliśmy wizy za 30\$ każda w Nepal Immigration Office. Noc już po stronie nepalskiej w hoteliku oferującym podobno średnie standard. Średni graniczny oznacza zacieki na ścianach i suffice, pajęczyny niezamiatane od paru miesięcy, brak ciepłej wody, obskurna łazienka, takie same łóżka z szarymi podartymi prześcieradłami oraz wiatrak wyglądający tak, jakby ktoś nim kiedyś ciął mięsko w rzeźni :). Pełni entuzjazmu wyjeżdżaliśmy więc karimaty, śpiwory i poszliśmy czym prędzej spać. Rano autobus do Chitawan National Park. I podezias

podróży mile zaskoczenie: powietrze czystsze, brak śmieci, niemal w górze; ruch samochodowy spokojniejszy, nawet bez nadużywania klaksonu; co chwila checkpointy wojskowe, obowiązujące tylko Azjatów, a nie turystów (ochrona przed maistami, którzy zresztą i tak powiedzieli, że na 3 miesiące podpisują zawieszenie broni, ze względu na nepalskie święta narodowe). Zatrzymaliśmy się w Saucharze, wiosce tuż przy parku narodowym, hotel Sauchar Resort zupełnie pusty, więc stargowaliśmy się dobrze za noclegi; same domki wspaniałe, czystościutki i nawet z moskitierami. Tego samego dnia jeszcze oglądnęliśmy wylęgarnie słoniów, od matek w ciąży do tych z małymi mającymi na-

wet po ok. 6 miesięcy. 1,5-miesięczne miały 150 kg. Wieczorem program kulturalny – tańce, pokazy itp. Następnego dnia z samego rana przejeżdżałami po rzece i wędrowka przez dżunglę :D. Po drodze pooglądaliśmy nosorożca, malpy, dziesiątki ptaków, krokodyla i grzechotnika spożywającego żabę; niestety żadnego tygrysa :(, za to pijawek mieliśmy jak na życzenie. Po 4-godzinnym przedzieraniu się przez krzaki doszliśmy do punktu wyjścia, żeby trafić na „kapiel ze słoniem”. Wyglądało to tak, że 5 osób wchodziło na słonia, a ten z nimi na grzbiecie do rzeki, później następował moment niepewności i chłup! – słoni kładł się na boku w wodzie. Najpiękniejszy był widok

3-tonowego słonia dryfującego razem z nurtem rzeki. Po obiedzie czekała nas ostatnia wycieczka, na grzbiecie słonia w dżunglę – 2,5 godziny. Niezamowite przeżycie, trudno je opowiedzieć, trzeba samemu doświadczyć uczucia drętwienia nóg, pleców i pośladków na małej, 4-osobowej platformie bujającej się wte i wewte 3-4 metry nad ziemią :). Ale i tak byliśmy zachwyceni. Wieczorem ze zmęczenia nasza koleżanka prawie spaliła domek przy pomocy grzałki, ale poza tym nie było przygód :). Teraz siedzimy pod Annapurna, a jutro jucz na 7 dni w góry, więc znów zamknięci. Macham wam więc z wysokości na razie 1000 m n.p.m. i do zobaczenia :)



**Żeby zrobić spaghetti, najpierw należy sprawdzić, co mamy w lodówce. Tym razem do pełni szczęścia naprawdę niewiele potrzeba. Oczywiście każdy składnik można zastąpić innym, ale tak się złożyło, że znaleźliśmy takie składniki:**

25 dag mielonego mięsa  
2 łyżki oleju  
cebula  
pomidor  
ząbek czosnku  
marchewka  
koncentrat pomidorowy (mały)  
1/2 opakowania makaronu do spaghetti  
10 dag żółtego sera  
przyprawy

Jezeli udało się zebrać kilka komponentów naszego obiadu, zaczynamy. Najpierw drobno siekamy cebulę i czosnek (można go załatwić wyiskarką), marchewkę traktujemy na tarce – najlepiej takiej, co ma wielkie oczki. Wszystkie warzywa podsmażamy na oleju, dodajemy koncentrat oraz pokrojony i obrany ze skórki pomidor. Potem trzeba to zagotować i w odpowiednim momencie (czyli za jakąś chwilę) dodać mięso. Podczas mieszania mięso należy rozgniatć widelcem albo drewnianym urządzeniem zwanym blychą do mieszania. Mięso ugniatamy, tak aby rozpadło się na małe kawaleczki. Do smaku

najlepiej dodać przyprawy – tu każdy ma pole do popisu i według gustu może poszaleć, wysypując: pieprz, sól, oregano, bazylię, estragon, ziola prowansalskie, słodką paprykę itp. Całość gotujemy jeszcze na małym ogniu około 10-15 minut. W międzyczasie gotujemy makaron najlepiej według instrukcji na opakowaniu. Gotowy makaron polewamy gorącym sosem i posypujemy potartym lub pocętym na plasterki serem i wciągamy. Smacznego.

PeiM


**Akademickie  
Targi Pracy**

**Szukasz pracy?**  
**Planujesz karierę?**

Zarezerwuj swój czas na 22.XI.  
i koniecznie zjrzyj na Akademickie Targi Pracy!

Rusza kolejna edycja ATP organizowanych dla absolwentów i studentów przez Fundację MANUS.

- Jeśli jeszcze nie wiesz, w jakiej branży chciałbyś pracować,
- Jeśli chcesz zdobyć doświadczenie zawodowe przed ukończeniem studiów.

Nie przegap, tej szansy i przyjdź zapoznać się z tegoroczną ofertą ATP. Jest to doskonała okazja do poznania przyszłego pracodawcy zanim podejmiesz decyzję o złożeniu aplikacji.

W targach udział biorą 34 firmy z różnych branż. Niezależnie od formy prezentacji ich celem jest zapoznanie Cię z firmą i zachęcenie do złożenia aplikacji, zaproszenia na praktyki, czy staż.

#### WSKAZÓWKI DLA CIEBIE:

Wykorzystaj ten czas do spotkania się z potencjalnym pracodawcą i zadania mu pytań dotyczących pracy w firmie, jej kultury organizacyjnej.

To oferta również dla Ciebie, jeśli jeszcze nie zdecydowałeś, co konkretnego chciałbyś robić, w jakiej branży pracować i jak inwestować w siebie, aby zapocentrowało to w przyszłości. Aby ułatwić sobie zadanie pomyśl o branżach, w których na pewno nie chciałbyś pracować oraz o takich, które leżą w zasięgu Twoich zainteresowań i możliwości.

Zbierz informacje na temat stażu i praktyk. Dobrze wykorzystana praktyka zaoferuje możliwość zdobycia stałej pracy, a zdobyte doświadczenie na pewno okaże się pomocne.

Koniecznie zabierz swoje CV. Wiele firm wykorzystuje targi jako wstępną rekrutację. Bądź aktywny, wykaż się inicjatywą!

**ZAPAMIĘTAJ :**  
**AKADEMICKIE TARGI PRACY**

**TERMIN:**

22 listopada 2005

**MIĘSCIE:**

Gmach Główny Politechniki  
Wrocławskiej (A-1)

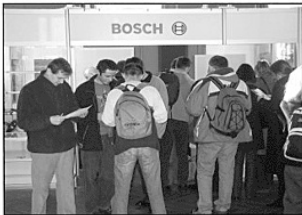
Wybrzeże Wyspiańskiego 27

**ORGANIZATOR:**

Fundacja MANUS

**INFORMACJE:**

www.atp.manus.pl



## Przyjdź na **TRAMWAJADE** i baw się razem z nami!!!

Wieczorową porą czyli ok. godz.19 startujemy z przystanku pod ZOO i wszyscy razem ruszymy na podbój wrocławskich ulic kolorowym, rozbujanym tramwajem. W cenie biletu zapewniamy trzy ulubione napoje studenckie i małą przekaszkę :o) i niezapomnianą zabawę!  
Bilety do kupienia w budynku C9 pok. nr 418.

**Zapraszamy!!!**

**Załoga IAESTE i  
gwarantuje że będzie:**

**I**-improwowo

**A**-awangardowo

**E**-energicznie

**S**-susuuuuper

**T**-tramwajowo

**E**-elektryzująco

www.iaeste.pwr.wroc.pl

**IAESTE**  
**tramwajada**



17 listopada

22 pln 3h jazdy

3 piwka

odjazd godz. 20

bilety  
bud C9 pok. 418



Politechnika Wrocławska



# Co?

**Gdzie?** – we wrocławskim Imparcie,  
przy ulicy Mazowieckiej 17  
**Kiedy?** – 18-20 listopada 2005

## Międzynarodowy Kabaretowy Festiwal WROCEK 2005

To już trzecia edycja wrocławskiego festiwalu kabaretowego – ale wystarczająco przywrócić się uważnie jego nazwie, a jasnym się stanie, że jest to edycja znacząco od poprzednich różna. Organizatorem przestała wystarczać dotychczasowa formuła imprezy i postanowili wzbogacić ją o niebanalny szczegół: Międzynarodówkę. Zaprosili do udziału w zabawie kilka grup okolo-kabaretowych spoza granic Polski, by tym samym udowodnić słuszność hasła promującego Festiwal: "Śmiech łączy ludzi. Wrociek tych, co się śmieją". Idea imprezy jest znalezienie wspólnego mianownika dla reprezentantów różnych krajów, kultur i języków, dla ludzi w różnym wieku i uprawiających rozmaite rodzaje szeroko pojętej sztuki komicznej.

Międzynarodówka to oczywiście tylko jeden z elementów Festiwalu. Jak co roku scena Impartu gościć będzie Gwiazdy – młode, rozpoczynające dopiero swoją sceniczną karierę, ale również te doskonale znane, nie tylko miłośnikom tematyki kabaretowej.

**W piątek** 18 listopada Impart oddany zostanie we władanie dziewczęciu najlepszych studenckich zespołów kabaretowych z całego kraju. Zadymki potrwają do późnych godzin nocnych, dostarczając – jak zwykle – niebanalnych wrażeń zarówno uczestnikom, jak i publiczności.

**Sobota** to dzień szczególny – rozpoczęty wspomnianą Międzynarodówką, której unikalny charakter wzbudza liczne kontrowersje (no bo jak to? Skąd będzie wiadomo, co się na tej scenie odbywa? Napisy będą? Tłumaczenie symultaniczne? Co oni, u diabła, wymyślili?...), a która z pewnością będzie przełomowym momentem w życiu Wrocław.

Tuż po międzynarodowych emocjach przyjdzie czas na szaleństwa towarzyszące Konkursowi Piosenki Debilnej! Tu naczelna zasada jest kompletny brak jakichkolwiek zasad; nikt nie jest w stanie przewidzieć, co się na oczach widzów dzieło będzie, choć teoretycznie wiadomo, że prawdopodobnie ktoś coś zaśpiewa...

Po konkursie – Gwiazda. Uświetniająca. Powszechnie znana. Oczekiwana. Jak to Gwiazda... Tym razem – kabaret Hrab.

**Niedziela** to już, niestety, pożegnanie. Smutne, łzawe, nostalgiczne, niemniej poprzedzone radosnym wręczeniem i jeszcze radośniejszym odbieraniem nagród, popisami laureatów oraz występem kolejnej Gwiazdy (Ani Mru Mru) – czyli jednym słowem Gala. Warto przyjrzeć się twarzą występujących w wyróżnionych kabaretach – pewnie niewiele czasu upłynie nim staną się popularni i rozchwytywani, bo tak to już z goszczącymi na Wrocławu zespołami bywa...

Po wszelkie detale zapraszamy na stronę [www.wrocek.art.pl](http://www.wrocek.art.pl) oraz – w przypadku szczególnego zapotrzebowania na informację – bezpośrednio do organizatorów Festiwalu. Będzie im bez wątpienia niezwykle miło.

© monka

## Studenci Politechniki potrafią pokazać, że umieją wygrać w pięknym stylu!



Puchar kpt Karmeny Stankowskiej

Wyjazd na zawody o puchar kapitan Karmeny Stankowskiej planowaliśmy już od dawna. Po wygranych majowych regatach o puchar Rektora AWF, przyjeżdżaliśmy do oleńskiego ośrodka wrocławskiego AWF jako faworytki. Chętnych do żałogi w moim klubie (JK AZS Wrocław) znalazłam bez problemu.

Wraz z Maćkiem Koszem i Maćkiem Bąkiem stanęłam w szranki z innymi żałogami

z HOW Rancho i AWF Wrocław przy niesprzyjających warunkach pogodowych... Otóż wiatr nas nie rozpieszczał i dla kapyru przez 2 dni zawodów było go jak na lekarstwo... Lecz to nam nie przeszkodziło. Zaopatrzeni w okulary przeciwsłoneczne, czapki z daszkiem i butelki z wodą źródlaną (!) wyruszyliśmy w bój. Pierwszego dnia zawodów rozegrano wyścigi eliminacyjne (1 barażowy, w którym startować nie musieliśmy po wygraniu wszystkich poprzednich... Emocje były przednie, zważywszy prędkość łodek, które z trudem posuwały się po wodzie... Trasa wiodła wokół 3 bojek rozstawionych na kształt trójkąta w kolejności: START-1-2-3-1-3-META. Parę trików po starcie i już nas nie mogli dogonić :) Przez dwa wyścigi obserwowaliśmy, jak reszta zawodników walczy o kolejne miejsca, a sami powolutku i z spokojem, przy hasle "pelen relaks" odpływaliśmy w siłą dala... Po szczęśliwym dotarciu do brzegu (podkreślam, że nadal prawie nie miałam, a zagłówną trudno gdziekolwiek dopłynąć

w takich warunkach...), zjedzeniu obiadu, obejrzeniu meczu i wypiciu gody udaliśmy się na spoczynek, bo przecież następnego dnia czekała nas seria finałowa!

**Niedziela rano...** Wiatru nadal brak, ale niezłomni zawodnicy stawiają się punktualnie na linii startowej. Po wygraniu 4 wyścigów jestem pewna, że puchar mamy w kieszeni, ale wraz z żałogą stwierdzamy zgodnie, iż ostatni (5.) wyścig też trzeba by było wygrać, aby pokazać klasę... Własnych oczekiwań nie zawiedliśmy? Moja żałoga, którą skompletowałam na 2 dni przed zawodami spisała się świetnie, a sukces należy do całej naszej trójki. Po powrocie na przystań, aby tradycji stało się zadość, jako sterniczka zwycięskiej żałogi zostałam wrzucona do wody. Niestety, woda nie była zbyt czysta... No cóż, wygrana ma swoje wady i zalety :) Chyba nie muszę pisać, że najmniej jest wychodzić z szeregu po puchar, gdy inni z uznaniem klaszczą... Inna sprawa, że coraz bardziej mnie to motywuje do tego, aby pojechać na kolejne regaty w Olejnicy i znów wygrać w miłej atmosferze? A maj już niedługo...

Amazi

## Pułapka relatywizmu

## Tańsza opcja

Oferta wyjazdu sylwestrowego wydawała się dobra, toteż nie zastanawiając się ani chwili, zdecydowanie pod numer ogłoszenia.

W słuchawce usłyszałem rzeczą głos właściciela ośrodka:

– Dzień dobry panu, zapewne chce pan wziąć udział w naszym luksusowym sylwestrze w górach? Słuszę uprzejmie.

– Tak, zdecydowanie jest to dobra oferta. – oznajmiłem zadzwolony. Po chwili jednak dodałem: – Ale czy nie można jakoś jeszcze uciąć kosztów wyjazdu?

– Rozumiem, że interesuje pana tańsza opcja? Ależ to żaden problem! – krzyknął właściciel do słuchawki. – Zamiast czterech dni może pan zażytyć sobie dwóch, bo przecież i tak chodzi przede wszystkim o noc sylwestrową. – Naturalnie – zgodziłem się – teraz to lepiej brzmi.

– Czy mogę zatem zapisać pana na listę?

– Jeszcze jedna mała sprawa. To wyżywienie jest nieco nie na moją kieszeń. W końcu będę tam tylko dwa dni. Nie potrzebuję luksusów.

– Dobrze, że pan to poruszył, gdyż tutaj też jest dostępna tańsza opcja. Przez dwa dni pańskiego pobytu jadalby pan na specjalnym stoliku przy tynnym wejściu do kuchni i jadłby pan własny prowiant plus pozostałości otrzymywane z kuchni. Na pewno nie zepsuje to pana przyjemności z pobytu.

– Świetnie! Teraz pytanie dotyczące samego balu. Wie pan, ja pochodzę z niższych sfer i nie czułbym się dobrze na tak drogiej imprezie.

– Rozumiem to doskonale. Specjalnie dla pana oferuję tańszą opcję. Po prostu nie wchodzi pan na salę balową i z przodu obserwuje pan bankiet. Sądzę, że pomimo to będzie się pan bawił wyśmienicie. Niestety, nie mógłby pan także nocować w noc sylwestrową, gdyż do pokoi trzeba przejść przez salę – zakończył strapiiony właściciel.

– To żaden problem – dodałem wesoło – kto chciałby spać w taką noc. Poza tym płacę wtedy tylko za jedną noc.

– Ma pan absolutną rację. Gdyby pan chciał nie nocować także i w noc poprzedzającą bal, to jest to również możliwe. Wystarczy wybrać tańszą opcję dojazdową. Dojeżdża pan na własny rachunek już 31 grudnia i nie musi pan płacić ani za nocleg ani za dojazd.

– To rzeczywiście jest interesujące. Biorę zatem tę tańszą opcję – powiedziałem uradowany do mojego rozmówcy.

– Zatem zapisuje pana nazwisko. Przyjedzie pan tuż przed balem, zje pan przywieziony przez siebie obiad, następnie uda się pan do drzwi wejściowych i w progu przywitana pan nowy rok. Wszystko to za wprost śmieszna cenę.

– Oczywiście. Dziękuję panu bardzo. Tak ciężko znaleźć dziś tanią opcję sylwestrową.

Paweł Prociw

# RADIO LUZ

Studencka inicjatywa, która z miesiąca na miesiąc staje się coraz prężniej działającym medium akademickim.

Medium, które tworzone przez studentów wszystkich wrocławskich uczelni, daje szansę sprawdzenia się, rozwoju i współpracy przy kreowaniu programu każdemu, kto na tyle silnie wierzy w swoje pomysły, by z pomocą innych „uzaków” wprowadzić je w życie. Radio LUZ to program informacyjny, w którym ważniejsze są godziny dziekańskie, stypendia i zniżki w stołówkach niż kolejna nudna sesja rady miasta. To audycje autorskie, w których dominuje muzyka nieobecna w komercyjnych rozgłoszeniach. To programy, gdzie oprócz wywiadów z najciekawszymi osobistościami sceny usłyszyście kolegów, których dotąd podziwialiście tylko w osiedlowym garażu. Radio LUZ to wypadkowa gustów i pomysłów całej naszej ekipy, wsparta sprzętem zakupio-

nym przez PWR i doprawiona dobrymi radami udzielanymi nam przez osobistości, które swoje pierwsze kroki również stawały w rozgłoszeniach akademickich. Od blisko roku mieszkamy na drugim piętrze budynku C8 i nic nie stoi na przeszkodzie, aby każdy odwiedził nas i zobaczył, jak wygląda praca w radiu. Być może częściej z Was złapiecie tego najbardziej niebezpiecznego z wirusów, jakim jest wirus radiowca i zostanie z nami na dłużej, wykorzystując swoje pięć minut na antenie.

**Na stronie:**  
[www.radioluz.pwr.wroc.pl](http://www.radioluz.pwr.wroc.pl)  
znajdziecie naszą aktualną ramówkę i kontakt do każdego z członków redakcji. Czekamy na Was i Wasze pomysły codziennie.

**WRZUĆ  
NA LUZ!!**

**LUZ**  
akademickie radio



[www.radioluz.pwr.wroc.pl](http://www.radioluz.pwr.wroc.pl)

# AMBITNY, KREATYWNY, PRZEDSIĘBIORCZY ...

## WYKORZYSTAJ TO!

Międzynarodowe Stowarzyszenie Studentów AIESEC, działające przy Politechnice Wrocławskiej, prowadzi projekty oparte o praktyki zagraniczne, konferencje, seminaria, obozy adaptacyjne, warsztaty kulturowe.

Każdy semestr to około 5-7 projektów, obejmujących różnorodność dziedzin działań, poczynając od technologii informacyjnych, aż po współpracę dośnośląskich gmin z krajami UE (projekt Euroteam) i wolontariat w organizacjach pozarządowych. W tym semestrze będą to Dni Kariery, seminarium IT Days, oraz S.T.O.N.E, MIXER, Business Expansion, Euroteam oraz Cultural Understanding.

**D**ni Kariery to największe w Polsce targi praktyk, staży i pracy. Dzięki umiejętnościom, wiedzy i zaangażowaniu wielu osób po trzydziestu latach targi są najlepszym źródłem informacji o rynku pracy i możliwościach osobistego rozwoju dla studentów.

U podstaw Dni Kariery leży stworzenie możliwości bezpośredniego kontaktu z przedstawicielami wystawiających się firm. W otwartej rozmowie z młodymi pracownikami organizacji można zasięgnąć informacji na temat zatrudnienia, kultury organizacyjnej, realizowanych projektów i atmosfery pracy.

Akademia Umiejętności, w której skład wchodzi warsztaty, szkolenia, prezentacje oraz Case Study, to druga obok Targów Pracy część projektu. Część ta umożliwia bezpośredni kontakt ze znanymi specjalistami i trenerami. Wie-

cej informacji odnośnie Dni Kariery na [www.dnikariery.pl](http://www.dnikariery.pl)

**D**ni Technologii Informacyjnych IT Days odbędą się na Politechnice Wrocławskiej już po raz piąty. Seminarium to skierowane jest do studentów i środowisk akademickich, zajmujących się szeroko pojętą branżą IT.

Projekt ma na celu rozwijanie idei społeczeństwa informacyjnego oraz pokazanie korzyści wynikających ze znajomości nowoczesnych technologii i rozwiązań stosowanych w branży IT. Studentom daje możliwość zapoznania się z profilem firmy, zaś firmom, które biorą w nim udział, umożliwia kontakt ze studentami. W zeszłym roku uczestnikami IT Days były m.in. Apple, Accenture, Dialog, CapGemini oraz Silicon & Software Systems.

**C**ultural Understanding to cykliczne spotkania z kulturą i obyczajami innych narodowości, możliwość przeniesienia się do innego kraju bez konieczności wyjazdu. Cultural Understanding to spotkania ze studentami przebywającymi na praktyce w Polsce, to szansa na rozmowę z nimi o ich kraju, do także sposobność do poszerzenia wiedzy o świecie. Do tej pory na Politechnice Wrocławskiej gościliśmy osoby m.in. z Turcji, Ukrainy, Nowej Zelandii, Malezji ...a nowe spotkania już niedługo...

**S.T.O.N.E.** (Sharing the Opportunities of New Expe-



Koordinatorke projektów (od lewej): Małżona Kuska, Karolina Ślipko, Anna Polak, Agnieszka Jeszke, Aleksandra Wójcik.

rience) - projekt ten otwiera przed studentami z zagranicy szansę zdobycia doświadczenia zawodowego, organizując im wysokiej jakości praktyki o charakterze marketingowym oraz technicznym. Firmom natomiast umożliwia ekspansję na nowe rynki, ułatwia kontakt z zagranicznymi partnerami poprzez zniesienie barier językowych. "Stone" to z angielskiego "kamień" - projekt tak jak kamień ma być solidną podstawą dla praktykantów i firm do osiągnięcia wyznaczonych celów. Jak z kamienia dzięki pasji, wizji i starannej pracy powstaje rzeźba, tak dzięki naszej pasji, wizji i włożonej pracy projekt osiągnie swoje cele. - Karolina Ślipko, koordynator projektu.

**M**IXER (Making International eXchange through Education and Results) Grupa ambitnych i aktywnych studentów stworzyła projekt, który ma na celu stworzenie możliwości przyjazdu na praktykę studentom z zagranicy. Ich pobyt w Polsce będzie służył poznaniu innych kultur, łamaniu stereotypów i nawiązywaniu nowych, międzynarodowych przyjaźni.

Swą ofertę członkowie projektu kierują zarówno do firm prężnie rozwijających się, szukających nowych kierunków ekspansji i niekonwencjonalnych rozwiązań, jak również do tych rozpoczynających działalność

i potrzebujących impulsu do dalszego rozwoju.

**B**usiness Expansion projekt realizowany w 18 krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Business Expansion ma na celu rozwój małych i średnich firm na rynku europejskim, jak też umożliwienie im wejścia na rynek międzynarodowy i wdrożenie standardów Unii Europejskiej. Z drugiej strony stawia na rozwój studentów z krajów europejskich, którzy poprzez wyjazd na praktykę zdobędą nowe umiejętności i cenne doświadczenie.

**E**uroteam Celem tego przedsięwzięcia jest zaangażowanie praktykantów z zagranicy w pracę dośnośląskich urzędów miejskich.

W ramach projektu do Dzierżonowa przyjechała Helene Flint, studentka z Belgii, która rozpoczęła właśnie blisko trzymiesięczną praktykę w dzierżonowskim Urzędzie Miasta.

Mała do Bolesławca zawitała Anne Merete, studentka z Norwegii, która odbywa swoją praktykę w bolesławieckim Urzędzie Miasta.

Do innych miast, które w ramach projektu Euroteam odwiedzą wkrótce praktykantki, należą Polanica Zdrój i Radków.

AIESEC

# DOGMA

## GENIALNE BLUŻNIERSTWO

Było już o płytach wszech czasów, dlaczego więc nie mielibyśmy opowiedzieć także o wybitnych i ponadczasowych filmach? Na mojej liście zaczne pierwsze miejsce zajmuje od dłuższego czasu mało znany w Polsce filmik amerykańskiego reżysera i scenarzysty Kevina Smitha, o dziwnym i miłym tytule „Dogma”.

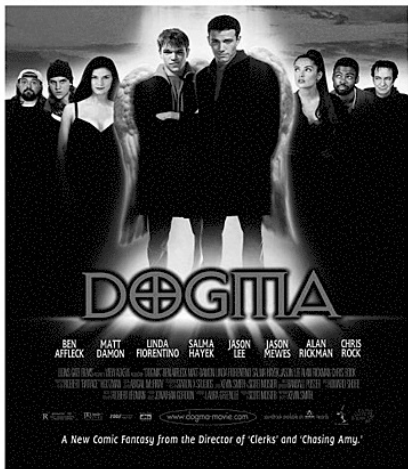
Zaczyna się od ostrzeżenia: „Nie traktujcie tego filmu poważnie... bla, bla, bla... I pamiętajcie, że nawet Bóg ma poczucie humoru! No właśnie! Gdyby nie miał poczucia humoru, Kevina Smitha już dawno razilby grom z jasnego nieba, albo co gorsza, mógłby trafić do Polski na zebranie kółka różańcowego wielkiej rodziny ojca Tadka i zostać rozszarpany żywcem na śmierć... Ale Bóg ma poczucie humoru i najwyraźniej lubi ludzi, którzy również je mają! Skłonny jestem nawet stwierdzić, że ma podobnie chore poczucie humoru, jak reżyser... w końcu obaj docenili urok stworzonka zwanego dziobakiem. Ale o co tak naprawdę tu chodzi? Przecież same niesmaczne żarty, dyskusje o genitaliach, kałowy demon i odstrzelwane aniołom skrzydła nie są jeszcze oznaką geniuszu... Co innego dyskusja o podstawach wiary, całkowite odwrócenie przyjętych wzorców, kwestionowanie wartości, wytykanie błędów kościoła katolickiego i podkreślanie problemów społecznych. Prawdziwą zaś oznaką geniuszu Kevina Smitha jest balansowanie na granicy bezpiecznej komedii dla walniętych dzieciuchów (tuzdzie psychicznie i emocjonalnie niedojrzałych dorosłych) oraz obrazu filozoficznego, który bije Bergmana i innych Fellinich na głowę!

W tym momencie nie obejdzie się bez odrobiny spoilera, ale bez nerwów, nie będę zdradzał istotnych szczegółów: Na początek weźmy dwóch aniołów, którzy wylecieli

z nieba za nieposłuszeństwo i od kilku tysięcy lat siedzą na ziemi, a konkretnie w Wisconsin. Jeden z nich to Loki – anioł śmierci (trochę nie ta bajka, ale cóż), który ongi zmiótł z powierzchni ziemi Sodomę i Gomorę, czym ciągle się chwali. Drugi zaś to obserwator, anioł chóru – Bartelby. On to właśnie spil swego kolegi i naklonił do buntu, za co obaj dostali bana z niebios. Teraz dodajmy do tego biskupa-cwaniaczka, który chce uczynić katolicyzm bardziej popularnym, czyniąc go bardziej komercyjnym

i cool. To właśnie on ogłasza tytułowy dogmat, głoszący, że każdy, kto wejdzie do jego kościoła zostanie oczyszczony z grzechu. Ktoś zyczliwy doniósł o tym wspomnianym dwóm banitom, którzy dostrzegli szanse powrotu do nieba, nawet jeśli miałyby to zanegować Boski wyrok.

Weźmy jeszcze wątpiącą katoliczkę, która została porzucona przez męża, bo nie mogła mieć dzieci, a teraz pracuje w klinice aborcyjnej. Pewnej nocy w jej sypialni zjawia się ognisty herold Boga (którego nie omieszka ugasić) – Metatron. Nakazuje on zaskoczony kobiecie powstrzymać dwóch buntowników. Jak? A któż to może wiedzieć...? Mało? No dobra, to dorzućmy jeszcze starych znajomych: Jay i Silent Bob przybywają na pomoc jako procy! To już samo w sobie jest przerażające, ale poczekajcie, aż zob-





czycie, co ci „prorocy” wyprawiają... Jeszcze mało?!? Okay, to dodajmy jeszcze: łatyńską laskę w roli muzy, czarnego trzynastego apostoła i diabła o wyglądzie alfonsa. A wspomniałem już o kalowym potworze...? No, więc teraz oni wszyscy kierują się do New Jersey, do wspomnianego kościoła. I nie byłoby w tym nic strasznego, gdyby nie fakt, że złamanie Boskiego wyroku grozi końcem świata! Właśnie! A gdzie w tym wszystkim jest Bóg? Cóż... Wszchemogący wyskoczył na golfa... I go wciąło.

Tak zaczyna się ta niebanalna fabuła. Jak się kończy, trzeba zobaczyć samemu! Po pierwsze, żeby to zobaczyć i mieć swoje zdanie. Po drugie: żeby się trochę zastanowić, użyć zwojów mózgowych i poczuć ten niezwykły klimat. Może niektórzy będą zniesmaczeni... To dotyczy się zwłaszcza ludzi bezkrytycznie religijnych, ale też szczególnie wrażliwych na wulgaryzmy i niesmaczne dowcipy Jaya. Ale z pewnością znajdą się też ludzie, których ten film zachwyci... Sam do nich należę! To typ, który nie lubi niczego brać na słowo i lubi myśleć, nawet jeśli czasami wynikają z tego konsekwencje.

Przy premierze filmu w USA rozpoczęła się prawdziwa batalia o niego. Ruchy katolickie zarzucały mu bluźnierstwo i protestowały pod kinami (w rozmowie z Jayem Leno, Kevin Smith przyznał, że sam brał udział w takim proteście, hehe). Pozwolić więc, że odsłonię kilka kart i wyliczę niektóre z tych bluźnierstw:

- aniolowie, demony, prorocy, apostołowie i wszyscy rzucają „fakami”, jak Boguś Linda (ale to chyba nikomu nie przeszkadzało...)
- Bóg jest kobietą!
- Jezus jest czarny!
- Jezus miał rodzeństwo (to akurat nie nowość)
- anioly są bezpłciowe i nie wstydzą się tego pokazywać, opuszczając spodnie.
- Kościół katolicki szafuje dogmatami według własnych upodobań! (I założy się, że o to był największy szum!)

Więcej sami sobie znajdziecie, bo wszystkim go wypisać nie mogę. Po prostu nie godzi się zdradzać wszystkich tajemnic!

Teraz kilka słów o stronie wizualnej: Jak na film Kevina S. przystało, większość akcji dzieje się w knajpach albo brudnych dzielnicach,

więc o walorach otoczenia nie ma co dyskutować. Jest dla kontrastu trochę neogotyckiej architektury sakralnej (czytaj: kościół), autostrada, pociąg i takie tam... Ale nie o to przecież chodzi, nie? Mocną stroną filmów Kevina Smitha są przecież aktorzy, a tutaj mamy kilku stałych bywalców: Ben Affleck jako Bartelby oraz Jason Mewens i sam Kevin Smith jako Jay i Silent Bob. W roli wybranki Linda Fiorentino. Kolega Afflecka został Matt Damon. Łatyńską laskę zagrała, jak zwykle, Salma Hayek. Ważniejsze role odgrywają też Jason Lee, Chris Rock oraz Alanis Morissette. Strona wizualna to też efekty specjalne. Tutaj nie są one wybitne, ale raczej... wystarczające. W końcu to nie film akcji, nie? Anioly mają skrzydła, kalowy monster jest... hm... kalowy, a czort ma różki i to wystarczy.

### Czas na podsumowanie?

Co tu dużo mówić: Dzieło genialne! Chociaż wiem, że wszystkim się nie może podobać i ocena jest mocno stronnicza, z czystym sumieniem wystawiłbym mu najwyższą notę w każdym systemie oceniania. Innymi słowy: musisz to zobaczyć!

Gil

## Kredka i Ołówek



Joanna Sum

J  
a  
z  
z  
o  
w  
e



R  
e  
w  
o  
l  
u  
j  
e

# Anna Rejda

pomimo tego iż studiowała waltornię na Akademii Muzycznej we Wrocławiu i historię sztuki na naszym Uniwersytecie, jazz od początku zdawał się być właściwym kierunkiem jej edukacji. Począwszy od repertuaru Elli Fitzgerald po instrumentalne kompozycje Wayne'a Shortera, Ornette'a Colemana czy Coltrane'a, tu wokalistka znajduje, zresztą z dobrym skutkiem, swoje miejsce. W swoich autorskich interpretacjach korzysta z potencjału improwizacyjnego Shirley Horn, Dianne Reeves czy Bobby'ego McFerrina - gwiazd muzycznych, które znalazły swoje miejsce w historii.

Zadebiutowała w kwietniu 2000 r. w Filharmonii Wrocławskiej jako solistka Big Bandu Aleksandra Mazura. Uczestniczyła też w wielu festiwalach. Jest laureatką Międzynarodowego Konkursu Wokalistów Jazzowych w Zamościu. Od tego czasu jej kariera nabrała dużego rozpędu...

Nie ma! Zniknęła! Niczym po wybuchu z mapy wrocławskich lokali; stara, poczciwa „Szara Mysz” zmieniła dzierzawców, wystrój i w ogóle nie ma mowy. Na i tak niedużym horyzoncie dzielnie stawia czoło dobrze znana fanom jazzu Rura i... pobieżnie lokale, gdzie jazz był raczej dyskretnym dodatkiem. Gdy więc w poszukiwaniu nowego, miłego miejsca wybrałem się w piątkowy wieczór, upolowałem COŚ! Coś ładnego, a do tego z muzyką na żywo.... Z rynku uciekam w ulicę Więzienną – może nawet słusnie tak nazwaną. Mijam znaną herbacianię i różnym krokiem kieruję się w stronę Uniwersku. Oczywiście nie docieram – po drodze powstrzymuj mnie napis: Ella Jazz Club. Wciąż w żalobie po "stracie" Szarej Myszy docieram do środka i próbuję udać, że nie robi na mnie wrażenia. Utrzymany w stylu lat 60. (uwaga!) przemieszanych z latami

90. lokal, stoliki oświetlone światłem z trąbek, metalowe pręty powyginaane na kształt różnych instrumentów. Nieduży bar i scena w centralnej części lokalu. Całość oświetlona dyskretnym światłem i świecami różnej maści i rozmiarów. O tak, tu dziś zostanie!

Na scenie pojawia się ładna blondynka wraz z trzema muzykami. Rozpoczynają granie. To kwartet Anny Rejdy, znanej w środowisku wokalistki jazzowej. Jej głos przy akompaniamencie fortepianu i kontrabasu brzmi świetnie. Delikatny głos wypełnia salę w zupełności. Czas ucieka jak szalony, a ja wciąż nie mam dość. Ze stoickich, wręcz patetycznych klimatów muzyki przechodzą na szybsze granie – nogi same wystukują rytm. Wielkie brawa i, niestety, przerwa.

Część druga sprawia, że ludzie zapominają o całym męczącym ty-

godniu. Kelnerka krąży niezmiennie od godziny zbierając zamówienia od spragnionych nie tylko muzyki widzów. Przypominają się stare, dobre lata 60., gdzie co wieczór zbierano się w lokalach, aby wspólnie posłuchać artystów jazzowych.

To wyjątkowy dzień... Gdy wspominam sobie cały koncert, to pisząc ten artykuł, mam wrażenie jakby od koncertu minęły lata. Pozostaje jednak miłe wspomnienie oryginalnego klimatu, tych niesamowitych świecących trąbek i głosu, przy którym z radością wszyscy milkną.

Za pomoc w realizacji dziękuję Panu Michałowi Szkutnikowi

Marcin Rak





### PATI YANG - "SILENT TREATMENT!"

Naprawdę nie spodziewałem się usłyszeć takiej płyty, bo debiut Pati był co najmniej słabutki. "Jaszczurka" – taki tytuł nosiła ta płyta, o której najchętniej nie pamiętać, bo to, co teraz dostajemy, jest naprawdę kawalkiem niezłej muzy. Oczywiście Pati nie odkryła niczego nowego, bo podobne dźwięki słychać na płycie Martyny Topley – Bird (patrz współpraca z Trickym), ale ładunek, że się tak wyrażę, emocjonalny, jaki otrzymujemy przez 45 minut jest niesamowity i całkowicie szczerzy. Nie wiem, jakim cudem artystce udało się nagrać płytę w legendarnym Air Studio, należącym do Sir George'a Martina, i nie wiem, jak to się stało, że nad brzmieniem czuwał producent Steve Hilton (U2, Pulp), ale cieszę się jak dziecko z tego powodu.

NIM



### ANITA LIPNICKA & JOHN PORTER - "INSIDE STORY"

Początek jest taki, że zastanawiam się, czy przypadkiem nie włączyłem sobie płyty najmniej owłosionej wokalistki na świecie. To jednak nie Sinead O'Connor, to naprawdę druga płyta duetu Anity i Johna. Jeżeli może być delikatnie i subtelnie niż dwa lata temu, to właśnie tak jest. Poza tym różnica w porównaniu z "Nieprzyzwoitymi piosenkami" jest taka, że wyraźnie brakuje przeboju, jakim niewątpliwie był utwór "Bones of Love". Singlowy "Hold On" jest najostrejszym numerem na płycie, ale brakuje mu tej świeżości. Być może mniej tu Nicka Cave'a, ale nie da się ukryć, że poszukiwani własnego stylu w takim tempie zajmą im jeszcze trochę czasu. Miło się słucha, ale niestety nie powala.

MIM



### SKALPEL - "KONFUZION"

Jazz w Polsce od zawsze miał się niezłe – wystarczy przypomnieć sobie Komedę albo posuchać co zrobił i co robi z nieustającą świeżością Stańko. No tak, ale co z młodzieżą? A więc młodzież słucha i to tak słucha, że z tego słuchania robi swoje. Ale jak można, słuchając, robić cokolwiek, a co dopiero robić swoje? A no można, tylko trzeba nazywać się Igor Pudło i Marcin Cichy. Panowie całymi garściami czerpią z historii, a potem trną, samplują, miksują, zapętlają, skreczują i chyba sami nie wiedzą, co jeszcze, ale mieszanaka jaką serwują jest niesamowita, wysublimowana i jeszcze kilka innych trudnych słów. Co tu dużo gadać – trzeba słuchać i robić swoje.

MIM



### FRANZ FERDINAND - "YOU COULD HAVE IT SO MUCH BETTER"

Ich debiut był głośny. Wskoczyli wysoko na listy przebojów. Komercyjny sukces może podciągnąć skrzydła, a muzycy polkną własny niby smaczny ogonek. I co w takiej sytuacji zrobił Franz? Chłopaki z Glasgow postanowili – jak się przyznali – nalażować się współczesną muzyką R&B. Można by pomyśleć – wariaci, ale jak się okazuje, takie wariaństwo wyszło im na zdrowie. Na szczęście ta płyta to kawał niezłej rozbudowanej gitarowej muzyki, przy której można zataneczować więcej niż przy starym, nowym, czy jeszcze innym R&B. Ale o gustach się nie dyskutuje, a każdy tańczy tak, jak potrafi, a tańczy każdy może, trochę lepiej, czy nawet gorzej.

MIM

## ROZDROŻE CAFE



Leszek Wosiewicz, autor filmu „Rozdroże Cafe”, okazał się najlepszym reżyserem tegorocznego festiwalu w Gdyni. Twórcę otrzymał również wspólnie z Krzysztofem Reżyńskim nagrodę za najlepszy montaż.

Narratorem tej opowieści jest Karzik Staszewski. Reżyser powiedział: „Od razu wiedziałem, że musi zaśpiewać Karzik, że jego piosenki muszą komentować to, co dzieje się na ekranie oraz rzeczywistość nas otaczającą”. Karzik śpiewa o ludziach na rozdrożu (jak tytuł na to wskazuje), szukających wyjścia z trudnej sytuacji życiowej w zakłamanym, pospawionym idealów świecie.

Film jest historią o trzech młodych ludziach z prowincji, którzy przyjeżdżają do Warszawy, żeby zrobić karierę. Dziwnym trafem pracą znajdują w agencji ochrony, a więc dużo czasu muszą spędzać na siłowni. W pogoni za szybkim pieniądzem oraz w dążeniu do pokazania, że są kimś ważnym, wpadają w złe towarzystwo. Dokonują napadu na bank, który kończy się tragicznie. „Chciałem pokazać normalnych ludzi wpłatanych w zbrodnię” – powiedział reżyser, ale czy mu się to udało, musicie sprawdzić sami.

PeeS

## NEUSTRASZENI BRACIA GRIMM

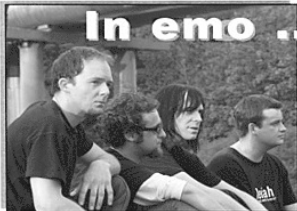


Chyba nikomu nie trzeba przedstawiać braci Jakuba i Wilhelma Grimm. Każdy był dzieckiem i na pewno słyszał o Królownie Śnieżce, Tomciu Paluchu, Śpiącej Królownie czy Kopciusku. Reżyser Terry Gilliam przenosi nas w niesamowity świat baśni dla dorosłych, w której straszą duchy, jest pełno magii, a humor przypomina ten z filmów Monty Pythona (notabene Gilliam współpracował kiedyś z twórcami tego najdziwniejszego ze wszystkich cyrków). „Neustraszeni bracia Grimm” to jedna z największych produkcji wytwórni Miramax w ostatnich latach. Piękna scenografia, stworzona z ogromnym przeżyciem oraz efekty specjalne, które już nikogo nie dziwią, ale potrafią oczarować.

Film przedstawia pełną przegrodę opowieści o braciach, którzy podróżują od wioski do wioski, przekonując ich mieszkańców, że muszą poddać się odprawieniu egzorcyzmów, gdyż w ich domach żyje mnóstwo zjaw i potworów rodem nie z tego świata. Problemy zaczynają się w momencie, gdy bohaterowie odkrywają, że w wiosce rzeczywistość mieszkają zjawy. W roli pokramiaczy demonów występują Matt Damon i Heath Ledger, natomiast Monica Bellucci wcieliła się w postać zjawy nie z tej ziemi. Jak widać warto przejść się do kina na niewątpliwą rozrywkę.

PeeS

# In emo ... WE TRUST



Mały klub w centrum miasta. Nigdy bym sama tu nie trafiła, gdyby nie pomoc znajomych. Zapowiada się niezłe: klimatyczny Salonik, gitarowe granie...

Może pokrótce przedstawię, o jakim zespole jest mowa. Powstali na Śląsku w 2000 roku z inicjatywy Juliego i Jesusa, kolegów z jednej szkoły pod nazwą :::hariszen (dwukropki i mała litera nie są błędem :-). Wokalista i gitarzysta w jednym (Julie) o wysokim i czystym głosie oraz charyzmatyczny

gitarzysta (Jesus) po paru miesiącach znaleźli perkusistę skowrona, który jest połączeniem wiecznego optymisty i wulkanu energii. Po dwóch latach do zespołu dołączył niezmiennie uśmiechnięty i pełen wigoru basista michny. Polskie teksty utworów i energetyzujące rytmy składają się na emo, czyli muzykę, którą grają, przenosząc emocje poprzez instrumenty, sinie łącząc słuchacza z grającymi. Nazwa zespołu według słownika wyrazów i sy-

nonimów tybetańskich oznacza emocjonalny stan, potrzebę ogromnej bliskości, a symbol czarnego pingwina, nieodłącznego emblematu przy czterech dwukropkach wynika z natury tych ptaków, które jak się łączą w pary, to na zawsze.

:::hariszen, pomimo iż są jeszcze dość młodym zespołem, mają na koncie kilka sukcesów. Zagraли ponad 100 koncertów, ich piosenka "Na zawsze (gdzie to jest...)" wygrała konkurs "Ekspresowe Otwarcie", dzięki czemu wystąpili na Open'er Festival w Gdyni jako jedyny polski rockowy zespół na dużej scenie przed The Music i The White Stripes, a "Nesairah" (anagram nazwy zespołu) znalazł się w płycie z "Nowymi twarzami" Trójkiowego Ekspresu. W tej chwili są w trakcie ustalania szczegółów kontraktu, który zapewni im wydanie płyty.

Wróć do pamiętnego dnia, 15 października, kiedy to po raz pierwszy usłyszałam emo na żywo. Przed :::hariszen wystąpiła niemiecka kapela Hollywood Conspiracy And The

People Of Djibouti wprawiając zebranych w spokójny, wręcz bluesowy nastrój, przeplatając napięcie wynikające z oczekiwania na gwiazdę wieczoru. Zaczęli grać, a rytmy płynące z ich wnętrza i teksty piosenek przesyłające myśli spowodowały odwrócenie się od rzeczywistości, odciesie w inny wymiar. Czulałam, że jestem wśród ich emocji, że choć tam słuchać i poruszać się w te taktę całą noc, albo jeszcze dłużej... Zahipnotyzowana do dziś słyszę w myślach wpadające w ucho słowa i wciąż się uśmiecham, jakby ktoś zaraził mnie pozytywną energią.

Chłopcy mówią, że nie wiedzą, co ich czeka, ale są na to gotowi. Nie będą nakłaniać ludzi do kupienia ich płyty, bo wystarczy, że przyjdą na koncert, a tak jak ja będą chcieli zdobyć ją za wszelką cenę :-)

Osobście polecam ich koncerty oczywiście krążyć, gdy wyjdzie. Naprawdę warto! A członkom zespołu życzę rozwinienia żagli na szerokim oceanie kariery...

Amazi

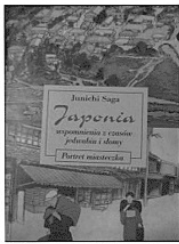
J  
u  
n  
i  
c  
h  
i  
S  
a  
s  
a

## Japonia

Wspomnienia z czasów  
Jedwabiu i słomy.  
Portret miasteczka

Książka ta wpadła mi w ręce przypadkiem w Mediatece. Najpierw zaintrygowała mnie okładka – grafiki tworzone ręką ocea autora książki. Potem – informacje na okładce, mówiące, że jest ona pełna wspomnień sprzed stu lat, wspomnień nagranych, zebranych, zapisanych przez lekarza z małego miasteczka o nazwie Tsuchiura. Po przewertowaniu kilku stron postanowiłam zabrać książkę ze sobą. I dobrze zrobiłam.

Ta zbiorowa biografia wzbogaca wiedzę o kulturze i historii Japonii bardziej niż sterta podręczników czy książek historycznych. Otwierając ją, otwieramy bramy do pałaców bogaczy lub chatek biedaków, dla których problemem było zdobyć odrobiny ryżu. Poznajemy codzienne życie rybaków, stolarzy, wytwórców tofu, farbiarzy bawelny.

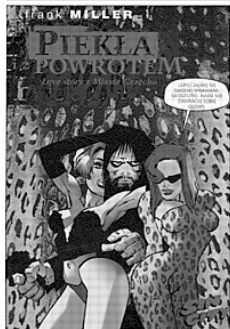


Wiemy, jak bawili się dzieci i jak swoje ostatnie dni spędzali japońscy żołnierze, czekający na wykonanie samobójczego ataku. Poznajemy także podstawy japońskiego marketingu z przełomu XIX i XX wieku, techniki i znaczenie damskich fryzur a także przepis na ciastka ryżowe. Aż czuje się zapach kwitnących wiśni...

Wielu z bohaterów tej książki już nie żyje. Wszyscy byli świądkami

ogromnych przemian, jakie w kulturze, tradycji i krajobrazie Japonii zaszły w XX wieku. Powstały nowoczesne miasta, rzeki zmieniły swoje koryta, wiele prac, które dawniej wykonywane były ręcznie, teraz robią automaty. Zmienił się sam Japończyk. Wiele historii może nas poruszyć – jak opowieści o tym, jak postępowano z niechcianymi dziećmi. Jednak ci, którzy swojemu lekarzowi opowiadali historie z czasów młodości, mówili o niej z sentymentem i żalem, którego być może brakować będzie w naszych opowieściach za 60 lat. I choćby dla nich warto sięgnąć po książkę, która przechwyci skrawki ludzkich wspomnień. Możemy poczuć się o coś bogatsi, poznając nie tylko kulturę i tradycję, ale także najwyklesze ludzkie emocje i pragnienia. Z pewnością lektura ta to najtańsza i najprostsza w realizacji podróż w czasie i przestrzeni – a naszym wehikułem są strony tej książki i nasza wyobraźnia.

Monika Stawczyk



# Frank Miller - „Do piekła i z powrotem”

Moda na "Sin City" trwa. Przed wakacjami filmowa adaptacja gościła na ekranach naszych kin, a od niedawna film jest także dostępny na DVD. To właśnie rewielacyjny obraz w reżyserii Roberta Rodriguez (do spółki zresztą z autorem komiksów i gościnnym udziałem Quentina Tarantino) sprawiła, że cykl odżył, zyskując pokaźne grono nowych czytelników. Wydawnictwo Egmont postanowiło wykorzystać renesans popularności serii



i wydać love story z Miasta Grzechu (choć do Walentynek jeszcze daleko).

Tym razem Frank Miller głównym bohaterem uczynił niejakiego Wallace'a, twardziela o złotym sercu. Przypadkowo staje się on świadkiem sceny, w której piękna kobieta próbuje popełnić samobójstwo, skacząc do morza. Wallace od-

ratowuje Esther, bo tak ma na imię niedoszła samobójczyni, i zakochuje się w niej bez pamięci. Między dwójgim w krótkim czasie zawiązuje się romans. Sielanka nie trwa jednak długo, gdyż Esther zostaje powana przez zbirów. Wścikły i zdeterminowany Wallace będzie musiał przejść tytułową drogę "do piekła i z powrotem", by odzyskać ukochaną. Niejako przy okazji wpadnie na trop szwindla znacznie większego kalibru.

Jak widać, fabuła nie jest ani zbyt skomplikowana, ani odkrywca. Warta akcja i cięty humor sprawiają jednak, że całość czyta się znakomicie. Graficznie komiks stoi na mistrzowskim poziomie. Dominuje, jak zwykle w przypadku tego tytułu, czerń i biel wzbogacona o kolorowe elementy szczególnie istotne dla danej sceny, bądź też charakterystyczne dla niektórych postaci. Nowością są strony w pełnym kolorze. Tak właśnie został ukazany narkotyczny odjazd Wallace'a, któremu za aplikowano halucynogeny specyfik. Ta postmodernistyczna minihistorjka to popis nieskrepowanej wyobraźni Millera. On rusz szusza on tu oko do maniaków komiksowych opowieści. Zresztą widać wyraźnie, że autor miał ochotę poeksperymentować, gdyż kreska zmienia się znacząco w kolejnych fazach opowiadanej historii. Dla fanów serii "Do piekła i z powrotem" to ponad

wszelką wątpliwość pozycja obowiązkowa. Resztę odstraszyć może wygórowana cena. Czterdzieści dziewięć złotych to jednak sporo jak na studencką kieszeń.



Na koniec jeszcze mała ciekawostka. Pierwotnie film miał także zawierać opowieść "Do piekła i z powrotem", a do roli Wallace'a przymierzany był sam Johnny Depp. Pomysł ostatecznie porzucono, pewnie ze względu na ograniczenia budżetowe. Rodriguez już zapowiedział kolejne dwie części. Musimy uzbroić się jednak w cierpliwość, bo premiera "Sin City 3: Hell-&Back" planowana jest dopiero na 2009 rok. Czekaj z pewnością warto, tym bardziej, że w obsadzie ma się znaleźć seksowna Salma Hayek. :)

Krzysztof Redkiewicz

# ŚCIŚLE PO POLSKU

**Nauki techniczne charakteryzuje precyzja. Nie możemy od niej uciec również w języku. Przede wszystkim dlatego, żebyśmy byli dobrze rozumiani (bo nie zawsze jest czas na wyjaśnienia). Jako przyszli absolwenci wyższej uczelni technicznej powinniśmy dbać o nasz język. Niech będzie on zawsze czytelny, konkretny, ale przede wszystkim - bezbłędny.**

## Z Amperem o apostrofie



Owszem, wśród wybitnych naukowców było (i jest) wielu Polaków. Ich nazwiska, na szczęście, nie sprawiają nam zwykle problemów natury poprawnościowej. Niestety, nie można tego powiedzieć o nazwiskach naukowców zagranicznych. I o nich tym razem.

Zacznijmy od tego, że w języku polskim WSZYSTKIE nazwiska – zarówno polskie, jak i obce – należy odmieniać (z jednym wyjątkiem\*: nieodmienne pozostają nazwiska francuskie zakończone na -o, -oi, -au, -ou, ewentualnie z niewymawianymi -s, -x występującymi po wspomnianych samogłoskach: Jean Darboux – Jeana Darboux). Każde nazwisko można przyporządkować jednemu z istniejących w naszym języku wzorców odmiany. To jednak nie stanowi zazwyczaj problemu: najtrudniej jest nam ocenić, czy powinniśmy użyć apostrofu (\*). Zbyt często uznajemy, że tak: ten znak przestankowy jest zdecydowanie nadużywany. Kiedy go stosować, a kiedy nie?

Zwracamy uwagę na końcówkę nazwiska. Jeśli jej wymowa jest zgodna z pisownią (kończy się na wymawianą głoskę), to apostrofu NIE stawiamy. Dobór wzorca odmiany nie powinien być problemem (zwykle jest intuicyjny; odmieniamy tak jak nazwiska polskie). Mamy zatem: Albert Einstein [ajnsztajn] – Alberta Einsteina, Alessandro Volta [wolta] – Alessandra Volty, Georg Ohm [om] – Georga Ohma,

Francis Crick [krik] – Francisca Cricka, Michael Faraday [faradej] – Michaela Faradaya. Nie piszemy apostrofu również wtedy, gdy nazwisko kończy się na niemą spółgłoskę, a w wymowie – na samogłoskę. Ale uwaga: w odmianie zmieniamy wymowę. Owa niema spółgłoska musi się bowiem ujawnić: Sadi Carnot [karno] – Sadię Carnota [karnota], Jean Foucault [fuko] – Jeana Foucaulta [fukota], o Jeanie Foucaulcie [fukocie]; Antoine Lavoisier [lawuazje] – Antoinę'a Lavoisiera [lawuazjera]. Jeżeli jednak mimo niemej jednej spółgłoski wymowa kończy się inną, apostrof musi się pojawić: Gérard Desargues [dezarg] – Gérauda Desarguesa [dezarga]. Zwróćmy też uwagę na to, że jeśli nazwisko anglojęzyczne jest zakończone na -y (czytane [j]), apostrof nie pojawia się: William Shockley [szoklej] – Williama Shockleya.

Przede wszystkim użyjemy apostrofu tam, gdzie na końcu jest niema samogłoska: André Ampere [amper] – Andrégo Ampere'a [ampera], James Joule [dżul] – Jamesa Joule'a [dżula], Peter Debye [debaj] – Petera Debye'a [debaja], Gordon Moore [mur] – Gordona Moore'a [mura]. Musimy jednak zwrócić uwagę na to, że nie zawsze możemy przenieść nazwisko na grunt polszczyzny za pomocą samego apostrofu: jeśli spółgłoska, która kończy temat nazwiska, zmienia w którymś z przypadków brzmienie, musimy zmienić pisownię oryginalną. Zwykle dotyczy to miejscownika: André Ampere – o André'm Amperze, Gordon Moore – o Gordonie Moorze, Charles Wheatstone – Charlesa Wheatstone'a,

o Charlesie Wheatstone. Podobnie, mając na uwadze jednoznaczność wymowy, w narzędniku nazwisk zakończonych na -e zamieniamy tę literę na k: Paul Dirac – Paula Diraca, z Paulem Dirakiem.

Nazwiska zakończone na e (zapisywane -é, -ée, -ai, -eu), i (-i, -ie, -y), y odmieniamy według wzorca przymiotnikowego, stawiając apostrof w dopełniaczu, celowniku i bierniku nazwisk zakończonych na -y: Johann Bernoulli – Johanna Bernoulliego, Pierre Curie – Pierre'a Curiego, Satyendra Bose – Satyendry Bosego, Enrico Fermi – Enrico Fermiego, Walter Schottky – Waltera Schottky'ego, o Walterze Schottkym. Pewnym wyjątkiem są nazwiska włoskie zakończone na -lli, w których odmianie -i znika: Evangelista Torricelli [toricelli] – Evangelisty Torricellego. Trzeba też pamiętać o wspomnianych wcześniej nazwiskach angielskich, których ostatnia litera -y może być myląca. Z kolei jeśli po wspomnianych końcówkach wystąpi jeszcze -s bądź -x, apostrof będzie w każdym przypadku: Auguste Bravais [brawe] – Auguste'a Bravais'go [brawego], o Augustie Bravais'm [brawem].

Nie sposób wyczerpać ten temat, mając do dyspozycji jedną tylko stronę... Więcej przykładów znaleźć można w dwóch plikach dostępnych na stronie <http://www.wemif.pwr.wroc.pl/spent/dzialalnosc/inde.php?p=15&a=1&n=1>. A poza tym piszcie: Grzegorz.Wielgoszewski@student.pwr.wroc.pl, na pewno odpowiem.

Grzegorz Wielgoszewski



*pracować w Żaku*  
**Musisz ~~wyjechać do traku!~~**

---

Termin spotkania: każdy czwartek 19:30 s. 133 A1  
[www.zak.pwr.wroc.pl](http://www.zak.pwr.wroc.pl)

# RINF

## Rozwiązania Informatyczne



**Praca w Polsce**



**Praca za granicą**



**Projekty IT**



**Rekrutacja**

**Outsourcing kadrowy**

**U naszych klientów pracuje już  
ponad 200 informatyków!**

**Dołącz do nich!**

**Złóż aplikację!**

**[www.rinf.pl](http://www.rinf.pl)  
[praca@rinf.pl](mailto:praca@rinf.pl)**

Laureat IV edycji Programu

